Nr. 2. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 16. stycznia 1928. | Rok 50.

ŁOWIEC

KALENDARZ ŁOWIECKI W styczniu wolno polować na wszelką zwierzynę łowną, prócz jeleni i kuropatw.

NR. 2. WE LWOWIE, 16. STYCZNIA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

DO PP. DELEGATÓW CENTRALNEGO ZWIĄZKU

Na liczne zapytania naszych delegatów, mianowanych niedawno delegatami Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, wyjaśniamy niniejszem genezę i cel tych mianowań oraz z tem połączone obowiązki. Nie przypuszczamy, aby obcem komu było powstanie naszego Centralnego Związku, a tylko dla podkreślenia jego znaczenia i znaczenia jego delegatów, powtarzamy, że powstał on jako reprezentacja wszystkich stowarzyszeń łowieckich w Polsce, mając na celu wobec Władz w Warszawie to, co, jako cel swój określiło w swoim czasie w dawnej Austrji, względnie Galicji wobec władz Państwa Austrjackiego, reprezentowanych przez c. k. namiestnictwo we Lwowie — Galicyjskie Towarzystwo Łowieckie. I tak jak ono dla rozwoju łowiectwa w dzisiejszej Małopolsce niespożyte położyło zasługi, pracując i nad ustawami łowieckiemi i nad sposobem wykonywania ich, tak tuszymy, że i Centralny Związek oparty o świat łowiecki całego Państwa Polskiego, a w szczególności o kilka setek zrzeszonych w nim stowarzyszeń i wiele tysięcy członków, poważną tę gałąź gospodarstwa krajowego do rozkwitu doprowadzić zdoła. Pierwszym poważnym sukcesem już się poszczycić możemy, a to dobrą i wszystko przewidującą ustawą łowiecką, do której stworzenia w poważnej mierze fachowem zdaniem przyczyniliśmy się i w której złych stron dopatrzeć się trudno, podczas gdy pewne jeszcze braki łatwo odnośnemi rozporządzeniami uzupełnić można. Przy wykonywaniu tejże ustawy najważniejszym momentem będzie stosunek świata łowieckiego do Władz i wpływ, jaki tenże na Władze w kierunku życzliwego swych postulatów traktowania mieć zdoła. Na silnych tu stanął podstawach Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich. Złożywszy swoje Prezydjum i Wydział z najwybitniejszych i najbardziej fachowych łowców Polski, zajął wobec Władz centralnych silne stanowisko, poważny na ich do łowiectwa stosunek wywierając wpływ.

Zaszła jednak potrzeba ściślejszego z poszczególnemi województwami kontaktu, potrzeba bliższych informacji i odnoszenie się stolicy do prowincji oraz naodwrót. I tu właśnie przyszła w pomoc oddawna u nas istniejąca instytucja delegatów wraz z naszym dla niej statutem. Poczęto powoływać na terenie całej Polski delegatów powiatowych, których prawa i obowiązki w statucie są zawarte. Na terenie Małopolski stało się to właściwie niepotrzebne wobec ścisłego kontaktu naszych delegatów z naszym Wydziałem, a naszego Wydziału z Centralnym Związkiem. Wobec jednak wielkiej powagi, jakiej Wydział Centralnego Związku w stolicy zażywa, oraz dla zaznaczenia swej solidarności ze wszystkiemi poczynaniami Centralnego Związku, postanowił Wydział M. T. Ł. zaproponować temuż mianowanie po jednym delegacie na każdy powiat czterech województw Małopolski. Wszystkich też, którzy taką nominację na nasz wniosek otrzymali, prosimy gorąco o przyjęcie tej godności, zapewniając ich, że stanowisko ich i pozostałych delegatów tylko wzmocnionem tem być może wobec tego, że posiadać będą w stolicy najwyższego orędownika w Wydziale Centralnego Związku, tam, gdzie interwencja u Władz wyższych celem osiągnięcia postulatów czasem na miejscu nieuwzględnianych, potrzebną się okaże. Kolizji między jednem a drugiem stanowiskiem niema najmniejszej wobec jednego celu: ochrony łowiectwa; każdy nowy członek zjednany dla Centralnego Związku (t. j. każde stowarzyszenie) przechodzi przez nasz census, a przyjęty jest plusem i dla nas i Związku

a im więcej dla „Łowca Polskiego" czytelników, tem lepiej dla wiedzy i etyki myśliwskiej.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie chętnie czyni ofiarę ze swego dotychczas wyłącznego stanowiska opiekuna łowiectwa na swoim terenie i do Centr. Związku przystąpiwszy, chętnie widzieć będzie w swoich i Centralnego Związku delegatach stały łącznik bezpośredn świata łowieckiego ze stolicą.

Za Wydział M. T. Ł.
Juljusz hr. Bielski
prezes

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

VIII., IX., X., XI., XII., XIII., XIV., XV. i XVI. POLE.

Hugo Mosler, wystawił 5 łbów jelenich, 35 wieńców, cztery główki sarnie, jedną tarczę z rożkami sarnimi, 54 rożków sarnich, 3 łby dzicze i 4 pary szabel; dalej preparaty: jelenia, 2 rogaczy, koźlęcia, odyńca, 2 niedźwiedzi, 2 głuszców, 2 cietrzewi, cieciorki, 4 frankolinów, 2 orłów, 2 myszołowów, puhacza i 2 sów.

Wystawca ten posiada największy zbiór trofeów, jaki kiedykolwiek był własnością myśliwego zawodowego w Galicji. Wystawione okazy przedstawiały tylko część jego zbiorów.

Z wyjątkiem frankolinów, pochodzących z Kaukazu, wszystkie te trofea zostały zdobyte w Wełdzirzu. W zbiorze wieńców było tyle okazów interesujących, że niepodobna każdego z nich osobno opisywać, a ograniczyć się trzeba tylko do tych, które były w swoim rodzaju najciekawszymi. a bodaj czy nie unikatami Takim np. był na granicy pól X, XI, zawieszony nieregularny czternastak o niesłychanej rozpiętości 151 cm. (**Nagr. III.**); takim też perukarz o długości pni 34/44 i o obwodzie róż 35/37 cm. ważący 11·5 kg., takim wreszcie nierówny dwunastak, którego pień prawy, o formie łopaciastej, był jakby zwinięty, a pień lewy skarłowaciały.

W tychże polach widzieliśmy dwa krępe, niemal czarne wieńce, o pniach wybitnie ku przodowi zwróconych, wskutek tego, że móżdżenie leżą nie we właściwem miejscu, lecz nisko na czole.

Interesującym był też nienormalny dziesiątak bez gałęzi na lewym bardzo długim i smukłym pniu. w przeciwieństwie do prawego krótkiego i zmarniałego, o znamionach szóstaka.

Na pilastrze ściany między polem VIII. a IX. zawieszony był pięknie uperlony, czarny prawie wieniec, niebardzo silnego czternastaka o 4 bojowych gałęziach na każdym pniu (Maral). Okaz zajmujący dla badających pochodzenie karpackiego jelenia.

W polu tem zwracały wreszcie uwagę piękne kły dzicze i tablica z rożkami sarniemi, wykazująca bardzo ciekawe myłkusy

Bronisław Kwaśniewski, wystawił wśród tego zbioru (XII) białego lisa, albinosa, a hr. **Wodzicki Antoni** w polu XIV skórę rysia.

XVI., XVII., XVIII., XIX., i XXI. POLE.

Władysław ks. Sapieha, cztery akwarele i obraz olejny pędzla Juliusza Kossaka; akwarele przedstawiały sceny z polowań w Karpatach, z biorącym w nich udział ks. Adamem Sapiehą.

Jan Jędrzejowicz, wystawił ładnego orła.

XVII. POLE.

Stanisław hr. Stadnicki, wystawił wieniec jelenia, 3 łby dzicze, 150 par rożków sarnich.

Wieniec jeleni był niezwykle rzadkim okazem wstecznego widłaka.

W przebogatym tym zbiorze rożków były najrozmaitsze formy i typy, a między nimi okazałe ósmaki, dziesiątaki i myłkusy.

Zbiór ten sam świadczył o wzorowej gospodarce łowieckiej w kniejach wystawcy. Poza tem, godnym zaznaczenia jest fakt, że i polowe rewiry tego znakomitego myśliwego-hodowcy roją się stadami sarn. Ich stałą ostoją są wyłącznie pola, skąd najsroższe mrozy, ani nawalne śniegi do lasu ich nie spędzą. To też niekiedy podczas polowań kociołkowych na zające, padał w jednym dniu do 30 rogaczy.

XVIII. i XIX. POLE.

Państwo Skole (własność bar. Groedlów), wystawiło 17 wieńców jelenich, 4 pary zrzutów jelenich, 12 par rożków sarnich, a w preparatach 2 rysie, orła, puhacza, 2 skóry rysie, 2 skóry wilcze mapę poglądową i tablicę odstrzału.

Grupa wystawionych wieńców przedstawiała wszystkie odmiany jeleni karpackich. Wśród tych trofeów pierwszorzędnej wartości zwracał uwagę szesnastak i nienormalny czternastak w polu XVIII., jak również pięknie ukształtowany dwudziestak w polu XIX.

Między zrzutami, pnie łopaciaste budziły ogólny podziw.

Główną atrakcją wystawy Skolego były dwa jelenie, wypchane w pozycji bojowej, znakomicie przedstawione.

Widzenia godne były też oba wypchane rysie, oraz skóry rysie z wyraźnem i pięknem centkowaniem.

XX. i XXI. POLE.

Dr. Tadeusz Sołowij, wystawił wieniec kapitalnego szesnastaka, o regularnych i bardzo grubych pniach i gałęziach rzęsiście uperlonych, o pięknych różach. — Waga poroża 9·60 kg.

Był to idealny typ jelenia karpackiego. Trofeum to zdobył wystawca sam, w własnym rewirze, w Bachlowej, pow. Lisko.

Gustaw Müller, wystawił wieniec jelenia i kolekcję nienormalnie ukształtowanych rożków sarnich, umieszczonych na 57. tablicach.

Zbiór ten kilkakrotnie premiowany, posiada wielką wartość naukową, gdyż wykazuje przyczyny nienormalności rożków, faktycznie stwierdzonych na podstawie sekcji.

Marjan Jędrzejowicz, w tych samych polach parę pięknych i silnych kłów dziczych.

Janusz ks. Radziwiłł, trzy okazałe łby dzicze i kolekcję pięknych rożków sarnich. Na szczególną uwagę zasługiwała zwłaszcza para rożków szóstaka z r. 1907., umieszczona na stole w polu IV. Wysokość ich wynosiła 29·5 cm., obwód róż 21 cm. **Nagr. I.** Druga para rożków również bardzo piękna, z r. 1908, otrzymała **Nagr. II.**

Rożki te pod względem uperlenia i ukształtowania nie miały równych sobie na wystawie, choć pod względem grubości ustępują miejsca rożkom z Nienadowej (XXV. i XXVI. pole.

Jan bar. Goetz-Okocimski, wypchanego wycinka i łeb nierównego 16-ka wraz z porożem, niezwykłej okazałości.

Karol hr. Lanckoroński, czaszkę kapitalnego rogacza, szóstaka, ubitego w roku 1900, przez hr. Lanckorońską.

C. d. n.



Dr. STAN. KOŹMIAN REJCHER

Z galerji sławnych psów

Szperacz historyczny, Francuz, Lenorbe, gorżko wymawia wszystkim hodowcom psów, że niedostatecznie oceniają zalety i zdolności psa.

Większość hodowców przeważnie zwraca uwagę na rasę, wzrost, sierć, siłę, zwinność psa, a zapomina zupełnie o intelekcie psa, mówi Lenorbe, i ma poniekąd rację.

Czyż pies tylko jest zwierzęciem? Czyż historja życia psa nie mieści w sobie pięknych przykładów poświęcenia, wierności, wdzięczności, dobroci i inteligencji? Zalety nie są należycie oceniane. Niestety, nie każdy posiadacz psa dzieli się ze społeczeństwem spostrzeżeniami z życia swego niemego przyjaciela i dlatego bardzo mało mamy w historji lub w starych kronikach opisów bezgranicznej wierności i przywiązania psa do człowieka. Kilka drobnych, pojedyńczych faktów z współżycia psa z człowiekiem doszło jednak do naszej wiadomości i stanowią one do przyczynku o roli psa w życiu człowieka poważny materjał.

Przytoczę kilka historycznych opowiadań. Za czasów Restauracji cieszyła się w Paryżu wielką poczytnością książka pod tytułem: „Więzienie paryskie w czasach Rewolucji“. Opowiadanie czerpię właśnie z powyższej książki.

Podczas rewolucji pies bardzo często odgrywał rolę bohatera.

W zamku Videville jest mały wypchany piesek, który niegdyś należał do Marji Antoniny. Imię jego było „Odin“. Przechodził on dziwne koleje. Sprowadzony ze Szkocji, dostał się do pani Marji Lamballe, ochmistrzyni dworu, Marji Antoniny, podczas burz rewolucyjnych. Niechętnie pozbyła się wierna ochmistrzyni dworu rodziny królewskiej swego pieszczoszka „Odinka“ na rzecz królowej Marji Antoniny.

Gdy wyrokiem ulicy Paryża para królewska znalazła się w więzieniu, Odin wiernie służył przy boku swej ulubionej pani. Towarzyszył królowej do ostatniej chwili jej życia i dopiero, gdy wsiadała na wóz Samsona, kata Paryża, który miał ją zawieźć na rusztowanie, rozstała się z „Odinem“. Oddała go żonie dozorcy więzienia z poleceniem oddania go księżnej Tarentu, pani de Teureal, jako ostatni dowód przyjaźni. Po śmierci księżnej Tarentu, „Odinka“ otrzymała córka jej, księżna de Charost. „Odin“ znalazł śmierć pod kołami karety, która odwoziła p. de Charost na wygnanie, na które skazał ją ówczesny minister policji Fouché za rzekome spiskowanie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, Odin zginął w rocznicę śmierci Marji Aantoniny, 16. października. Z polecenia księżny Charost, Odinka wypchano, a szczątki złożono w skrzyni dębowej i pochowano w ogrodzie palmowym. Tam też odnaleziono je w 1860 roku.

Za żywota pani swej dzielił z nią wszystkie nieszczęścia, a gdy przyjaciółce pani swej miał towarzyszyć na wygnanie, serce jego napełnione goryczą nie zniosło tego i wolał śmierść bohaterską pod kołami wozu. Może chciał wóz w siegu zatrzymać, może chciał — żal wzbudzić u nielitościwych wykonawców wyroku, może!... może!... Któż to odgadnąć lub wytłumaczyć potrafi?

Podczas tejże rewolucji i drugi jeszcze pies odznaczył się w historji świata psiego. Sławny archiwista francuski Campardon odnalazł w aktach trybunału rewolucyjnego dokument następujący:

„W imieniu prawa:“

„28. fructoidora II Roku Rzeczypospolitej francuskiej, jednej, niepodzielnej.

Trybunał rewolucyjny skazał na śmierć niejakiego Saint-Prix. Tenże trybunał zawyrokował, iżby pies skazańca został zabity.

Wskutek dekretu udaliśmy się, Klaudjusz Karol Jerzy, członek Komitetu rządu Narodowego i obywatel René Ludwik Hosteau, inspektor policji, do domu pod znakiem „Walka byka“, gdzie znaleźliśmy obywatelkę Maclark, przechowującą zwierzę. Obywatelka Maclark po okazaniu rozkazu wydała psa, który został stosownie do wyroku trybunału i w jego obecności rozstrzeiany.“

Jaką zbrodnię popełnił nieznany z imienia pies, że trzeba go było rozstrzelać? Przecież on nie mówił?! Wielkiej jednak zbrodni dopatrzono się w tym posłusznym, gorliwym, bez szemrania spełniającym rozkazy psie. Pan jego, Saint-Prix, utrzymywał stosunki z emigrantami, zwolennikami królestwa, a pies mu w tem dopomagał, ostrzegając go zapomocą szczególnego rodzaju szczekania o zbliżaniu się agentów policji. Pies nadto, jak mówi uzasadnienie wyroku, nienawidził jakobinów, rzucał się na nich, kąsał zajadle, a w dodatku wył od rana do nocy na placu, gdzie ścięto jego pana.

Zginął biedny pies za swego pana. Za wierną, szczerą służbę panu swemu padł z rąk ludzkich. A możeby bezimienny pies pana Saint-Prix — tak samo służył swemu katowi i swym wyrokodawcom, którzy wyrok trybunału wykonali? Może? Prawdopodobnie!

Że psy nie cieszą się sympatją u rewolucjonistów, jest faktem. Niedawno czytałem w niemieckiem piśmie „Sportblatt“ przedruk komunikatu komisarza bolszewickiego okręgu Kubańskiego, który brzmiał:

„Pies, jako zwierzę domowe, jest pozostałością ustroju kapitalistycznego, gdyż służy i używa się go wyłącznie do obrony prywatnej własności. Rządy kapitalistyczne wydawały prawa nietylko w obronie prywatnej własności, nietylko więzienia budowały, ale psy tak nauczyły, że napadały na tych, którzy rękę na prywatną własność podnieśli. Otóż zarządzam, by wszystkie psy w okręgu mnie podległym były wytępione, a w celu upamiętnienia na wieczne czasy bezwstydu burżuazji, rozkazuję z funduszów państwowych wybudować pomnik, przedstawiający opasłego burżuja w tużurku i cylindrze, z psim łbem. Odpowiedni napis umieszczony na pomniku niech na zawsze będzie przekleństwem dla burżuazji. Póki wszystkie psy wytępione nie będą, zarządzam, by nosiły kagańce i obroże, a na obrożach napis: Sługa kapitału nosi znaki okiełzania jako dowód, że i pan jego, burżuazja, na wieki poskromieni i okiełzani są.“

Nie należy, prawda, komunikat bolszewicki do cyklu sławnych psów, podałem go jedynie, wiernie przetłumaczywszy, gdyż widzę łączność między wyrokiem w Paryżu nad psem p. Saint-Prix a komunikatem. Łączność jest przedewszystkiem w nienawiści rewolucjonistów do psa. Przyczyna — zdaniem mojem — leży w tem, że rewolucję robią żydzi, którzy od początku stworzenia świata psa uważali za nieczyste stworzenia, które głaskać jest grzechem, których do domu wpuszczać nie wolno. W konsekwencji też jest tchórzostwo żyda na widok psa i naodwrót rzucanie się zajadłe każdego psa na żyda w chałacie.

Wśród wszystkich zwierząt jeden tylko pies posiada dar odróżniania swego przyjaciela od prześladowcy. Ten niezbity fakt jest dowodem bezwzględnej jego wierności i oddania. Za suchy kęs chleba, za ciemny kąt w podwórcu — oddaje on tyle serdeczności i tyle podziękowań, że żadne zwierzę na równi z nim stanąć nie może.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

I.

Antylopa „Mbawala" a lampart

Ciąg dalszy.

Tam stawiałem pierwsze moje kroki myśliwskie, tam święciłem pierwsze tryumfy strzeleckie, tam też zapoznałem się bliżej z florą i fauną tego kraju — i tam właśnie „Mbawali" i lampartowi dużo poświęciłem czasu. W miejscowości tej ubiłem w ciągu kilku lat do dwadzieścia kilka sztuk „Mbawali", ale niestety — jednego tylko, jedynego, mojego lamparta. Osiedle nasze leżało nad brzegiem Sziry na tle, takiego charakterystycznego gąszczaku, o którym wyżej wspomniałem. Kilkadziesiąt drzew o wspaniałych koronach wznosiło się wysoko ponad zbitą masę krzewów kolczastych, tworzących na małem wzniesieniu niby oazę, wśród morza wysokich traw i z rzadka rozsiadłych, mniejszych drzew. Dom mieszkalny, magazyn i zabudowania gospodarskie, otoczone płotem trzcinowym, opierały się prawie o ścianę tego lasku. Za laskiem ciągnęła się otwarta dolina, którędy sączył się mały strumyk, wypływający z gór, które łagodnemi swemi stokami obejmowały całą tę przestrzeń jakby w ramy. Strumień, okrążając las, rozlewał się tuż przed ujściem do rzeki w małe bagienko, zarośnięte trzcinami i papyrusami.

Gąszczak poza domem (który mógł mieć conajmniej pięć hektarów obszaru) dolina za nim oraz dwie łąki, o charakterze stepowym po jednej i drugiej stronie naszego osiedla, były moim najmilszym terenem polowania. Wyszedłszy poza ogrodzenie — już w kilka minut znajdowałem się prawie że w puszczy bezludnej, gdyż w promieniu pięćdziesięciokilometrowym — z wyjątkiem kilku chat naszych ludzi — nie było żadnej wsi murzyńskiej. Na tym małym obszarze mogłem zawsze znaleźć coś nowego do upolowania. Żyły tam stale — lub zachodziły różnych gatunków antylopy, zebry i dziki — a wreszcie i koty dzikie, między któremi lampart był stałym mieszkańcem. Lwy pokazywały się tylko w porze wielkich ulew i to na krótki pobyt. Poza zwierzyną łowną, żyła tam jeszcze wielka mnogość mniejszego zwierza, rozmaitych gatunków i — oczywiście dużo także zwierzyny pierzastej.

Nie było tam przepełnienia, ale tem więcej polowanie na tym terenie miało swój urok niezaprzeczony. Miało i z tego względu, że zawsze mogłem się spodziewać jakiegoś nowego gościa z dalekich stron, wielkich antylop, bawołu lub nawet nosorożca, gdyż teren ten leżąc u podnórza gór, które w kilku łańcuchach ciągnęły się wzdłuż brzegów Sziry, graniczył z okolicą zupełnie nieznaną i bezludną.

Najbliższy ten teren myśliwski nazwałem — moim rejonem. Było tam stosunkowo dość dużo antylop „Mbawali" i lampartów. W zagajniku za domem miałem zawsze — jak w jakim rezerwacie — kilka rodzin tej antylopki, i jedną, czasem dwie rodziny lampartów. Nie było dnia, abym obchodząc mój rejon, nie dostrzegł na ścieżkach pod laskiem świeżych tropów „Mbawali", a często świeży ślad łapy, tego potężnego kota, gdy nocą z gąszczu za nią sie wychylał. Za to rzadziej udawało mi się pochwycić okiem zgrabną formę tej antylopki — i to zwykle wczesnym rankiem lub pod zachód słońca, gdy w charakterystycznych podskokach — jakby nurkując — wpadała w gąszcz, lub gdy stamtąd na dolinkę wyskakiwała. Najczęściej znikała mi z oczu tak szybko, że na strzał kulą czasu nie było. Byłem nawet początkowo przekonany, że o tej porze tylko w bezpośredniem sąsiedztwie gąszczu się kręci, które w razie niebezpieczeństwa dopaść może w kilku susach, zaś dalsze wycieczki urządza sobie porą nocną.

Tak samo tylko porą nocną zdawał się wychodzić lampart. Jego tropy (w czasie posuchy bardzo trudne do rozpoznania) pochodziły zwykle z nocy. Odnajdowałem je na ścieżce, a prowadziły zawsze na szlak, którędy „Mbawala" wśród trawisk poprzednio się przesunęła. Jak daleko szły, tego już sprawdzić nie było można, to tylko pewne, że tam gdzieś w wypatrzonem miejscu przyczajony, czekał na chwilę jej powrotu, aby na nią urządzić nagły wypad.

O ile — poznawszy już zwyczaje „Mbawali" — mogłem ją wytropić częściej, — a nawet dostać kilkakrotnie na dobry strzał, to z lampartem była rzecz trudniejsza. Tych kilka wypadków, kiedy go dostrzegłem na mgnienie oka, muszę policzyć do szczęśliwszych. Mój towarzysz Kazimierz Steblecki, który przed moim przyjazdem do Szamu ubił w ciągu lat trzech w tym samem miejscu kilkanaście „Mbawali" — nie zastrzelił ani jednego lamparta, jakkolwiek początkowo prześladował tego kota z równym, jak ja, zapałem. A było tych drapieżców w pierwszych latach i więcej i zuchwalszych, o czem świadczyćby mogła liczba kilkudziesięciu naszych kóz i owiec, wyduszonych przez nie w tym czasie. Działo się to zazwyczaj w nocy, ale bywały wypadki, że także w ciągu dnia, gdy pastuch nierozważnie podszedł z trzodą pod las, ginęła sztuka porwana przez lamparta.

I jak to mogło irytować hodowcę, a jeszcze bardziej myśliwego, z którego te drapieżce jakoby drwiły? Jak musiał się on czuć upokorzonym, gdy straciwszy część swego dobytku, wsłuchiwać się musiał z bliska, jak te sobie w gąszczu po sutej libacji z zadowolenia porykiwały.

Na nic nie przydały się zasiadki przy uwiązanej kozie podczas nocy księżycowych, na nic ustawiczne patrolowanie po miejscach pod lasem, w tym celu umyślnie z traw oczyszczonych — kot ten nie wyjrzał wtedy z gąszczu. Ale niechno tylko księżyc zaszedł, a my udali się na spoczynek, nie wahał się w jakiś czas później wpaść do koziej stajni i urządzić tam ponownie rzeź niewiniątek.

W bezsilnym gniewie (bo i do łapki klatkowej złapać się nie dał) wypadaliśmy nieraz z domu — usłyszawszy rozdzierające głosy duszonych zwierząt — poto tylko, aby się przekonać ile sztuk wydusił, z których ani jednej nie zdołał w pospiechu wyciągnąć przez wysokie ogrodzenie.

Kiedy stajenkę pokryliśmy strzechą, umiał i wtedy znaleźć drogę do środka, przebiwszy sobie w niej otwór, przez który w chwili nagłego odwrotu zręcznie się przedzierał.

Po wielu nieprzespanych nocach i po nieudałych wycieczkach, skąd wracaliśmy znużeni i niemiłosiernie skłuci przez moskity, poznaliśmy, że to gracz nielada, i że na sposoby człowieka ma swoje sposoby, a na jego przebiegłość — swoją chytrość niezrównaną.

To też w późniejszych latach zaniechaliśmy wszelkich zasadzek i wycieczek na lamparta. Pozostawiliśmy zetknięcie się z nim szczęśliwemu przypadkowi, ubezpieczywszy tylko lepiej stajenkę, obkładając ją gęsto gałęźmi pewnej akacji, przed której długiemi i ostremi

kolcami zdawał się mieć większy respekt, aniżeli przed ludźmi. Przekonaliśmy się, że pora jego najśmielszych występów — to ciemna noc, a zwłaszcza słotna i burzliwa, kiedy poszum wichru i chlapanie deszczu tłumiły alarmujące głosy, dławionych zwierząt.

A wówczas człowiek był bezsilnym. C. d. n.

ADAM RZEWUSKI

Zimowe polowania na zające bielaki na Północy.

Dla miłych kolegów myśliwych niezawodnie ciekawym będzie opis łowów na tych tak bliskich, chociaż gruntownie różnych w swych obyczajach — krewniaków naszych poczciwych „lepus timidus".

Poczynajmy od tego, że bielak „lepus variabilis" jest przeważnie mieszkańcem lasów głębokich i błót obszernych, a zaś w Polsce, li tylko północno-wschodnie kresy Rzeczypospolitej goszczą go, w dość zresztą ograniczonej ilości. Na skrajach leśnych można się z nim spotkać u nas, na równi prawie z szarakiem — na północy zaś, począwszy od ziemi Nowogrodzkiej, guberniach byłej Rosji, wołogodzkiej, ołonieckiej, archangielskiej i t. d. — zając zwykły już zanika prawie zupełnie, jest rzadkością — natomiast bielaki stanowią najpospolitszy rodzaj zwierzyny. Toż samo na miejscu i na tych naszych wschodnio-północnych rewirach — w głębi mateczników i mokradeł — daleko łatwiej spotkać bielaka niż kuzyna jego, pospolitego szaraka. U nas już widzieć można białego „leporyda" w głębokich rządowych lasach, dzierżawionych przez Poleskie Towarzystwo Łowieckie, mianowicie: w puszczach Wiado-łupieckiej, Rożańskiej, Michalińskiej, w niektórych okolicach Wileńszczyzny. W powiecie sarneńskim na Polesiu, na bardzo odpowiednich błotnisto-olchowych terenach, nie napotykałem go wcale, w Mozyrskiem — przedwojną — bardzo rzadko. Oczywiście, nasza była Witebszczyzna, jakoteż ziemia Kowieńska, Mohylewska obfituje w bielaki, będąc dzisiaj, niestety, niedostępną dla naszych zapędów ło wieckich... Szaro-rudy w porze letniej, nieco mniejszych rozmiarów od zwyczajnego (waga zwykła 6—10 funtów), zimą w swej świetno białej szacie z czarnemi końcami uszu i omyka, bielaczek jest prześliczny! Już w listopadzie nabiera barw zimowych, w kwietniu staje się podobny do zwykłych zajączków. Nigdy bielak nie zagląda do ogrodów owocowych, żywiąc się jedynie korą z łoziny, olchy, wierzby i osiny. Nigdy nie obserwowałem wyrządzania szkód ogrodowych u nas, spotykałem go bowiem li tylko w głuszy leśnej. Co się tyczy jego „chodów", to „kluczy" daleko więcej od szaraka, jak wąż prześlizga się pod wykrotami, idzie zawsze prawie miejscami najgęstszemi — na nich więc winien myśliwy go oczekiwać.

Z WYSTAWY POWSZECHNEJ 1927 WE LWOWIE



ZE ZBIORÓW JANA hr. GOETZ-OKOCIMSKIEGO (medal złoty)

Ileż to razy bywało podczas polowań na niedźwiedzie w tajdze ołonieckiej lub lasach Wołogdy, kiedy jestestwo całe przyrodnika-myśliwego w naprężeniu najwyższem, zatopione w czary oczekiwania i ciszę z doskonałych najdoskonalszą — gdy każdy płatek śniegu z zasypanego świerku głośnem echem w sercu się odbija, — każde kwilenie sikorki, lub ćwierkanie stadka przeciągających nad głową krzywodziobów, — co za wrażenie wywierała raptowna zjawa skocznego bielaczka... Jak gnom z baji, kelf leśny, duch tych zamarłych, rzekłbyś, pustkowi — wynurza się śliczne stworzonko na białozielonem tle, drzemiących drzew olbrzymów. Popatrzy uważnie, o kilka kroków odległości nieraz — „słuchy" swe czujnie nastawiwszy... chwila — i... już go niema! już na nowo zanurkował, roztopił się śród mroków podgłębi puszczańskich i to najbezpieczniej w świecie. Bo czyż się myśli o nim natenczas, oczekując misia-potentata? Natężona uwaga li tylko dla pierwszych odgłosów nagonki. Raptem znowu z innej strony zamigotała biała sylwetka. Inny, nowy okaz, a może być i ten sam, po odbytem kluczeniu w wirydarzach świerczyny. „Chi lo sa?..." Bo w kluczeniu mistrzem jest zacny kot leśny, jak nazywają go miejscowi „mużyki", którzy też z tego powodu nigdy i za nic w świecie nie używają zająca jako pokarmu. Wcale nieuzasadniona abominacja, gdyż pod względem gastronomicznym nie jest gorszy od szaraka, zwykle tylko nieco chudszy i więcej żylasty w sko-

kach. Zresztą dla rodu bielaczego tem lepiej, podobna abstynencja, lecz, coprawda w niewielkim stopniu, gdyż pomimo to, tysiącami wyłapywano je na wnyki dla „eksportu“ do Petersburga, Moskwy i innych środowisk, w czasach przedwojennych. Nie wiem, jak stoi ta kwestja obecnie. Myślę, że warunki głodowe raju sowieckiego zapewne przezwyciężyły wrodzony wstręt do „leśnej koszki“ — obywateli bolszewickich. A może zresztą nowa ustawa łowiecka rządu robotniczo-włościańskiego iście „drakonowska“, o której też parę słów zamierzam napisać, jako „horribili dictu“ *godną* pod pewnymi względami nawet naśladownictwa, może wzięła i tych miłych gryzoniów pod swą iście wściekłą opiekę. Kto wie co się tam dzieje w Imperjum proletarjackiem czerwonych carów Moskwy.

* * *

Jeśli na naszych łowiskach wielkiem urozmaiceniem jest strzał do bielaka, to cóż powiedzieć o polowaniu na nie ze sznurami na dalekiej Północy. Stanowić to może prawdziwą ucztę myśliwską, pod kątem zapatrywania estetyki, strzału i emocji na tle kultu św. Huberta. Delektowałem się tem nieraz w czasach przedwojennych. Technika tych łowów jest następująca:

Teren kilkuhektarowy zazwyczaj porosły kępami krzaków wierzbowych i olszyną obrzuca się sznurami z chorągiewkami, jak zwykle używanemi na wilki i lisy. Nie trzeba daleko szukać miejsc odpowiednich. Każdy tak zwany „pustyr“ pod każdą wsią niemal, obfituje w kilka conajmniej będących podczas dnia na legowisku zajęcy bielaków. Chyba je pieski poczciwe gospodarskie rzetelnie porozganiały, gdzie pieprz rośnie. Przy podobnych okolicznościach, zajmuje się kawał pustkowia obok nie na tyle splądrowany, lub nareszcie doświadczony „mużyk okładczyk“ sprawdza obecność nocnych wchodowych tropów i zeskoków. Kilku chłopaczków zachodzi na terytorjum sznurami okolone (gdzie niema krzaków, sznury oparte o widełka), myśliwy staje obok zarezerwowanych tzw. „wrót“, tj kilkumetrowej długości przestrzeni wolnej od sznurków i przy pierwszem ruszeniu tej małej nagonki dopiero zaczyna się prawdziwa uczta, istna radość myśliwska. Zaraz prawie poczynają niby oderwane od białego tła śniegu ruchome białe płachty rzucać się gwałtownie to w jeden koniec szczelnie zamkniętego pola, to w drugi... Napotykając groźne białe, żółte, czerwone gałgany — lecą jak szalone do przeciwległych krzaków fatalnego obwodu. Napróżno! Znowu ta sama zmora. Wtedy rozpoczyna się kotłowanie zajączków, a bywa ich zwykle nie mniej 5—6, czasami do dziesiątka w „miocie“ podobnym — bieganina wzdłuż sznurów straszydeł. Wszystko na nic... Jedynem wyjściem z koszmarowej opresji pozostają „wrota“ zbawienne w myśli biednych bielaczków, — śmiertelne w rzeczywistości. Zwykle, jak na dłoni, widoczne są wszystkie te ewolucje stojącemu za kordonem pod krzakiem lub nawet zupełnie otwarcie myśliwemu przy wrotach...

Rwie zając, jak wicher, błyskawicą, słuchy przytuliwszy — prosto, jak po sznurku, wypuszcza się za kordon... suchy strzał bezdymuego ładunku przy 30° Reaumura, zwykła temperatura w tych strefach w półroczu zimowem i — biała sylwetka ruluje w białe puchy śniegowe. Moment, już, a dwa wali tak samo. Dublet... Gracko! A tu... sypią i sypią jeszcze, jak z rogu obfitości. No, czyż nie rozkosz prawdziwa? Jest się samotnym zupełnie; „publicum“ celnych strzałów li tylko „malczyszki“, chłopcy naganiacze, brodacz mużyk okładczyk — ogrom bieli okalającej i to poczucie paru tysięcy kilometrów ciągnącej się tajgi północnej, w dal, do tundry Samojedskiej, lodami i morzem skutej. Na Jowisza i Herkulesa! żadne wybijanie rekordów strzeleckich, do żywych tarcz żyjących na klasowych łowiskach Wielkopolski, śród niemniej klasowych strzelb kraju naszego, nie dały i dać nie mogą przenigdy podobnych wrażeń, przeżyć łowieckich na łonie Matki-Przyrody. Czyste to, jak kropla rosy porannej, jak łza szczęścia ludzkiego bez fałszu i obłudy żadnej, bez „trików“ hodowli klinicznej zwierzyny, pokornie na rzeź idącej. Za takie chwile, chociaż o skromnego zajączka chodzi — człowiek korne przed Panem Wszechstworza dziękczynienie składa. Zapominają się bole i zgryzoty życia wszelkie — upaja się niemi jak winem szlachetnem, polecając się opiece św. Huberta, aby jeszcze raczył hojnym darem polowań podobnych obdarzyć. A hart nowy w jestestwo całe wstępuje i na duszy robi się tak słodko, tak miło, tak błogo... Nie afrykańskie to wyprawy. Nie lwy, hipopotamy, słonie... nie miś, srogi nawet... nie rekordowe „pięć kogutów“ lub „trzysta“ zajęcy — skromnych bielaczków para jedna, druga... a jednak ile radości, ile szczęścia daje duszy myśliwskiej!

„A gdy mnie już na tej ziemi dawno nie będzie,
daj mi Boże bielaczków i w niebiosach wszędzie!



WŁADYSŁAW GÜRTLER

Batory na łowach.

(Wyjątek z obszerniejszej pracy)

Ciąg dalszy.

„Raz, a było to na wiosnę, prawił dalej leśnik, obchodziłem swój las, ciągnący się na znacznej przestrzeni wzdłuż Bzury. A że było już ciepło, lody na niej puściły i płynęły z szumem kry gęste. Przyszedłem do miejsca, w którem brzeg rzeki wznosił się pionową ścianą nad nurtem. U stóp moich kłębiła się mętna woda, a wir był tak silny, że duże kawały lodu znikały w nich na dłużej, wypływając dopiero o kilkanaście kroków dalej. Patrzyłem na zatoń odchłanną i na wirujące na niej bryły lodu. Naraz wydało mi się, że na jednej większej krze płynie małe jagniątko... Widzę je wreszcie wyraźnie, jak leży, zwinięte w kłębek na boku i spoglada na mnie, jakby prosiło o ratunek.

„Zbiegam tedy z wyniosłości na miejsce, gdzie brzeg był już niski z myślą, aby wyciągnąć biedne stworzenie z wody, staję i czekam... Kra z jagnięciem nadpływa... a gdy równa się ze mną, wołam: „Baziu, bazieńkn, chodź do mnie!“ Ku mojemu zdziwieniu, jagnię odpowiada ludzkim głosem: „Baziu, bazieńku, chodź do mnie!“ — jak echo... Stanęły mi włosy dębem na głowie, czapka futrzana spadła na ziemię, oniemiałem z przerażenia. Wnet jednak oprzytomniałem i nakreśliłem w stronę dziwnego jagnięcia znak krzyża św. Na to zaśmiało się jagnię nieludzkim głosem i hul w wodę, która strzeliła w tem miejscu wysoką kaskadą w górę.

„Już go więcej nie zobaczyłem. Dopiero po dobrej chwili, gdy myśląc o dziwnem zdarzeniu, wracałem brzegiem rzeki powoli do domu, zobaczyłem po drugiej jej stronie wysokiego szlachcica, jak kroczył leśną drożyną. Wiatr, co się właśnie zerwał, podnosił co moment wyloty jego kontusza, podobne do wielkich czerwonych

skrzydeł. Rozpłynął się wrótce we mgle i znikł na zakręcie ścieżki. Powiało od niego siarką... Suponuję nieomylnie, że to był Boruta.“

Król zaciekawiony opowiadaniem, nalegał na Bałutę, aby mówił dalej, także wszyscy inni słuchacze prosili go o to usilnie. To też Pan Krzysztof nie zwlekał, ale żywo ciągnął rzecz swoją po krótkim odpoczynku.

„Innym razem, a było to już w Grodzieńskiem, niedaleko „Smolarza“, gdy szedłem lasem w samo południe gorącego dnia lipcowego, zobaczyłem czarnego psa, jak czołgając się w poprzek drogi, wlazł w dziupło starego dębu, stojącego opodal. Zdjęty ciekawością, podbiegłem do tajemniczego drzewa, znaczącego się czarną czeluścią. Przygotowany na wszelki wypadek do obrony, trzymając w pogotowiu naładowaną rusznicę, począłem krzyczeć, straszyć, wreszcie rzucać kamieniami do środka. Gdy pies nie wychodził, zapaliłem smolną trzaskę i wrzuciłem do otworu. I znowu nie było skutku. Dopiero, gdy huknąłem do środka z samopału i wezwałem imienia bożego, usłyszałem głośny śmiech na szczycie drzewa i zobaczyłem ogromnego puhacza, jak już zlatywał z będu W kilka dni później uderzył piorun w ten sam dąb i powalił go na ziemię. Rzecz dziwna że burzy w dniu tym gdzieindziej nie było. ,

Starzy Litwini dziwa o siłach nieczystych prawią. Każdy strzelec tutejszy, gdy zdobędzie rusznicę, stara się uczynić ją pewnie strzelającą. Dorabia więc sam łożysko z korzenia suchej brzozy, stojącej na rozstajach, pod którą zakopano wisielca.

Po korzeń musi jednak pójść sam o północy w Dzień Zaduszny i wykopać ją dwoma staremi łopatami. Rura, osadzona na takiem łożysku, nie zawodzi nigdy. Trzeba ją jeszcze nabić, jeśli nowa, pewnym gatunkiem żmii, która winna być czarna, z jasnym zygzakiem na grzbiecie i z ostrym szponem u ogona; gadów tych lud tutejszy nie otacza szacunkiem.

Naładowawszy strzelbę tylko prochem, wychodzi Litwin w gorące lipcowe południe do lasu i szuka za żmiją. Gdy ją znajdzie, podsuwa jej ostrożnie rurę, Gad włazi natychmiast w otwór, strzelec zatyka go co rychlej przygotowanym czopem z kości ludzkiej i niesie broń, w ten sposób naładowaną, do domu. Tam czeka, aż na niebie zrobi się pełnia księżyca i wtedy o samej północy strzela, mierząc w jasną tarczę wielkiej gwiazdy. W ten sposób staje się właścicielem strzelby, z której nigdy nie chybia i zawsze wszystko zabija, chociażby i nie mierzył celnie. Nawet wilkołak, czy upiór ze świecącemi oczyma, strzelane z niej padają na miejscu bez życia.

Jeden z moich znajomych, stary Łakunas, który tylko z powodu ciężkiej choroby nie bierze udziału w dzisiejszem polowaniu, opowiadał mi, że zaopatrzony w strzelbę w ten sposób przygotowaną, wyszedł raz w zimie na zasiadkę. Już stał przez dłuższą chwilę na przesmyku, ale jakoś nic nie nadchodziło. Naraz wybiega na jedną z dalszych polanek spory zając... Noc jasna i cicha pozwalała widzieć wszystko, jak na dłoni i słyszeć szmer najlżejszy...

Zając kicał, przysiadał, stawał słupka, nadsłuchiwał, ot — jak zając, a długi ciemny cień biegł za nim.

„Czekałem, mówił Łakunas, aby podbiegł bliżej.“

Nagle zając się wypręża i biec zaczyna wprost na strzelca. Ten gotowy do strzału, patrzy na kota i widzi ku swojemu zdumieniu i przerażeniu, że na nim siedzi mały człowieczek, trzyma go za słuchy i kieruje nim wprost na Łukanasa. Ufny w swą broń niezawodną pali strzelec w zwierza, i... Co się dalej stało, już nie pamiętał. Przypomniał sobie jeno później, że leżał długo na śniegu, a gdy się podniósł, zobaczył strzelbę z połamanem brzozowem łożyskiem i z rurą w połowie rozdartą, leżącą opodal. Z zająca ani śladu, nawet tropu znaleść już nie mógł, gdy później po dniu szukał.

Opowiem jeszcze jedną historję, która odnosi się do rybaków, a którą słyszałem z ust śp. dziada. Zdarzyło się raz, już bardzo dawno temu, że na jeziorze pod Augustowem łowili rybacy ryby. Połów odbywał się w samo południe. I gdy poławiacze dociągali sieci, ryb pełne — do brzegu, pękły naraz niewody i ryby uciekły. Wrócili więc do wsi z niczem. Na drugi dzień łowili znowu i poraz drugi sieci potrzaskały. „Nic innego, tylko siły nieczyste działają“, — orzekli i postanowili poradzić sobie inaczej. Oto poszli do kościoła, poświęcili w nim nowe włoki, a później w procesji z krzyżami i z chorągwiami udali się na brzeg jeziora, aby w jego lazurowej toni popróbować znowu szczęścia.

Zaledwie sieci pogrążyli w wodzie, poczuli nagle silne szarpnięcie sznurów i gdy je coprędzej przyciągnęli do brzegu, wyłowili dziwne monstrum o koziej głowie i strasznych oczach, świecących krwawym blaskiem. Na widok takiego straszydła tak wielki lęk opanował wszystkich, że chorągwie i krzyże rzuciwszy, do domów uciekli i w śmiertelną chorobę popadli.

C. d. n.



W. D.

Różnie to bywa...

I.

W ostatnich czasach szereg piór i to nie byle jakich opisywało przygody myśliwskie — wspomnienia z polowań, łowów, zasiadek, podchodów i t. d. — ale rzecz dziwna — wszystkim im jakoś pozostały wspomnienia pomyślnych rezultatów! Tu — tam — ktoś się przyzna do jakiegoś niewinnego pudła — poprawionego zresztą pomyślnemi następnemi strzałami, czasem wspomni się, że się było na jakiemś mniej udanem polowaniu, ale dziwnie jakoś nie zapamiętały się nieudane wyprawy — ale to tak gruntownie nieudane, tak nieudane, że język polski, język optymistów z urodzenia, niema na nie wyrażenia. Istnieje ono w języku niemieckim — słowo któtkie, a pełne głęboko sięgającej treści, słówko krótkie, a przeklęte, wyklęte, zwymyślane, jak nic na świecie. I cóż dziwnego, że się go tak przeklina, — fanatycznie (choć nie gramatycznie) rymuje ze słowem „zdechł“ — zaczyna się na p — jak nasze ulubione „psiakrew“, kończy się na ch — jak się zaczyna słowo cholera. Po odrzuceniu pierwszej litery wreszcie — jest pełnem bolu i rezygnacji westchnieniem — „ech“ — po którem mimowoli przypuszcza się zdanie: „Ech... lepiej o tem nie wspominajmy“. I może właśnie to zdanie powoduje, że się o tych „pechach“ swoich myśliwskich — woli w pisanych wspomnieniach — nie wspominać.

Ale ja mam le courage de mes... no nie opinions w tym wypadku, ale de mes... pechy. I chcę parę takich pechów — kolegom z pod znaku św. Huberta opisać, gwoli ich uciechy (bo któż nie zna boskiego uczucia „Schadenfreude“), a dla młodych — gwoli nauki, bo niejednego „pechu“ można uniknąć.

Incipiam. Było to lat temu sporo w czasach, kiedym był, jak to mówią. młody, płochy i z bujną czupryną. Nogi, płuca, serce, funkcjonowały wówczas całkiem spra-

wnie, ochota myśliwska aż kipiała. Dla polowania byłby człowiek niewiem co zrobił. Toteż cóż dziwnego, że w czasie wakacji, jakie dawał uniwersytet na „ostatki“ nie zostawało się w mieście, by pójść jeszcze na kilka bali — ale jechało się w lasy. Tak też było i onego roku. Z moim młodszym bratem machnęliśmy się na wieś, gdzie i lasy duże i dzików nie brak. Wielkanoc w tym roku wypadała wcześnie, tak, że „ostatki“ przypadały jeszcze dobrze w lutym. A zima trzymała na naszą pociechę tęga, mrozy do 14° R, śniegi leżały dość głębokie, — jednem słowem, czas wymarzony. Po południu po przyjeździe kontrola w najbliższym rewirze, czy tropy pozacierano, a następnego dnia rano, tropienie. Do tropienia saneczki własnego wynalazku — na starych nartach, umocowane na żelaznych prętach nisko, drewniane siodełko, do którego bez dyszlików zaprzągnięty mały konik. Z góry, by nie wpaść koniowi... na zadnie nogi, hamuje się obcasami — i dobrze. W tym dniu wypadło tropienie na mnie. Objechałem pięknie, ładnie i znalazłem, co nam było potrzeba. Oprócz dwu stad w gąszczach — leżą pewnie dwie całkiem grube sztuki w sekcji starodrzewiu sosnowego. Po co się one tam wybrały — kto ich wie! Ot, zachciało się im, widać, rozgrzebać któreś wielkie mrowisko pod starą sosną i tam sobie leżą spokojnie i ciepło, jak w pierzynach. Więc czemprędzej do domu.

„Są — w 19 sekcji — zdaje się ten gruby, co to go w czasie polowania chybił X, z drugą sztuką, a prócz tego stadko w 13-tej i drugie mniejsze w 8-mej. Iwaś (gajowy) czeka koło budy w 9-tej“. Taki raport zdaję bratu, który już całkiem gotów czeka; sanie zaprzężone, stoją przed domem. Prędko tylko garnuszek gorącej kawy, bom dotychczas naczczo — chleb z masłem zje się już na saniach. Jamniczek-tropowiec pod baranicę — i jazda.

Koło budy krótka narada z Iwasiem. Nie możemy brać naszym sytemem, tzn. by jeden stanął na przesmyku a drugi próbował strzału w barłogu, bo na „szerokiej drodze“ są dwa przesmyki, oba równie dobre, więc nie będziemy ryzykować. Iwaś pójdzie do barłogu i po ruszeniu puści pieseczka. Ja staję pod pierwszym pagórkiem, mój brat w dole na mostku.

Odjechaliśmy staję. Droga szeroka jak trakt podolski, wyjeżdżona sańmi, bo o dwa oddziały dalej wyrąb tegoroczny i tędy wywożą kloce — koleje aż się świecą jak szklane. Świat dokoła cudowny. Mróz aż dzwoni pod nogami — śnieg w mirjadach brylantów, niebo bez chmurki, słońce tak świeci, jakby już chciało walczyć z mrozem o lepsze. Za mną gąszcz młodego zapustu dębowego — jak ściana — z gęstego pręcia i suchych liści. Przedemną stary bór sosnowy. Rzadko stoją poważne matrony, w swych zielonych koronach, przyprószonych siwizną zimy. Stoją tak rzadko, że odpowiednio się ustawiwszy, widzę w głąb lasu na paręset kroków lekko wznoszący się teren równo zasłany bielą, tu-tam przekreśloną sznureczkiem ścieżki. Cisza bezwzględna w naturze. Czasem tylko z oddalonego wyrębu dojdzie przytłumiony okiścią odgłos, albo po gąszczyku za mojemi plecyma zaszeleści zlekka sikorka i odezwie się swem zimowem piti-piti-piuu-piti-piti-pit.

Staję pod grubą sosną, w ręku mój poczciwy ekspres podwójny, robota jednego z najlepszych rusznikarzy, jacy po tej ziemi chodzili, dziś już nie żyjącego Tabaczkowskiego. Stoję nawet z niedużemi emocjami, bo sytuacja całkiem pewna — albo moim przesmykiem, albo tam, gdzie stoi mój brat przejść muszą, a w tych warunkach, mając przed sobą tak rzadki las, a za sobą kilkunastumetrową przestrzeń drogi — chybić prawie nie można. Na szyi mam przewieszoną lornetkę zeissowską, więc od czasu do czasu patrzę przez nią w głąb miotu i czekam.

Nic — cisza. Iwaś ma spory kawał drogi do barłogów, bo pewnie leżą aż pod pagórkiem, gdzie w dole jest grupa potężnych sosen, a pomiędzy niemi sporo leszczyny. Ma więc do przejścia 3/4 oddziału w głębokim śniegu i w falistym terenie.

Mamy jeszcze czas. Nagle — nie usłyszałem, nie zobaczyłem, ale tym szóstym zmysłem myśliwskim doszło do mej świadomości, że coś jest przedemną. Jeden rzut oka — i widzę. Daleko, prawie na szczycie falistości — stoją. Odległość na 300 kroków. Jestem tak spokojny, że biorę lornetkę i patrzę. Trochę na prawo z gwizdem do góry, wietrząc — stoi on — przez lornetkę wyraźnie widzę silne szable. Bardziej na lewo, trochę zakryta nierównością terenu, druga sztuka, mało co mniejsza. Muszą wyjść — dublet idealny!

Powoli zaczynają schodzić z pagórka ku mnie. Odejmuję lornetkę i już gołem okiem śledzę spokojne, widocznie niespłoszone ruchy zwierza. Wtem niedaleko za pagórkiem od lewej — cienkie, jazgotliwe ujadanie naszego jamniczka. U dzików ułamek sekundy zastanowienia — i pełnym galopem ruszają skosem na prawo odemnie. Wyjdą na drogę o jakie dwieście kroków. Daję więc o tem znać nogom i marsz-marsz wzdłuż drogi. Dziki już mnie zobaczyły i przyśpieszają tempa. Przez krótki czas trwają te wyścigi, ale już widzę, że się zejdziemy i że strzał będę miał nie dalej jak na 20 kroków na drodze. Ale .. i pech ma czasem coś do gadania. W całym impecie staję na wyślizganej samej koleinie, noga jedzie naprzód — rozpaczliwy ruch rękoma, nogami, głową, całem ciałem, — i leżę, a raczej wpół siedzę na ziemi, rżnąc równocześnie przykładem o twardą grudę. Suchy trzask — przykład pęka na dwie części, a równocześnie oba dziki w odległości 16-tu (mierzyłem potem) kroków, w tumanie śniegu wypadają na drogę. Duchem szewskiej pasji i ostatecznej rozpaczy, chwyciłem za rzemyk — rzuciłem tem, co było ekspresem w krzak za znikającemi dzikami. Wiem że przytem wydobył mi się z gardła jakiś okrzyk. Mój brat, który stał o 300 kroków dalej — słyszał go, ale mi go nigdy nie chciał powtórzyć. Jeszcze dziś interpelowany o to, odmawia, bo powiada, że mimo szeregu lat służby na froncie, do dziś dnia nie słyszał poraz drugi tak wymyślnie skombinowanego zdania — ale skromność nam wrodzona wzdraga się przed powtarzaniem. Taka jest potęga natchnienia w chwili rozpaczy!

Nadszedł Iwaś z pieskiem, zastał mnie jeszcze siedzącego na śniegu. Pocieszał jak umiał, ale pod nawisłemi obszronionemi wąsami, widziałem chwilami — mimowolny skurcz uśmiechu. Mój brat tłumaczył mi, że mój błąd polegał na tem, że powinienem był strzelać stojąco, zamiast siadać. Że po tej uwadze w takiej chwili zachował jeszcze dobre zdrowie, przypisuję to jedynie bardzo silnej miłości braterskiej i zbytniemu memu przygnębieniu, które mnie na wszystko tępym uczyniło. Otrzymał tylko odemnie pewne kwantum informacji o swojej inteligencji — zresztą może i błędnych, gdyż objektywność mego sądu była w danej chwili wątpliwą.

Z Iwasiem zjawił się gajowy z sąsiedniego rewiru z raportem o tropieniu. Podjechaliśmy tam. Mój brat zabił tego dnia jeszcze dwa spore wycinki — a ja chodziłem z laseczką i pogwizdywałem — ale cienko.

C. d. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

PTASZKI MOTYLKI

Trzeba posiadać pendzel Rafaela — a barwy tęczy, by określić należycie kolibra, tego jedynego z najmniejszych, a zarazem najpiękniejszych ptaszyn z pośród wszystkich ptaków całego świata, mówi nam Hartwig. Maleńcy ci wybrańcy i ulubieńcy przyrody tropikalnej, jak żywe iskry unoszą się całemi stadkami w blasku słonecznym, oślepiają widza połyskiem barw drogocennych kamieni, mieniących się rubinów, szmaragdów, brylantów i roztopionego złota. „Kolibri“, to nazwa starożytnych indjan-karaibów, „słonecznej tęczy“ Nie mniej poetyczne nazwanie dali tej ptaszynie brazylijscy biali przybysze, nazywając go „pieszczochem kwiatów“. Europejczycy prozaiczniej ochrzcili kolibra mianem „ptaka muchy“, co zupełnie odpowiada jego rozmiarom, sposobom życia, polotu, bardziej do muchy lub motyla, niż do ptaszka zbliżonego. Wiszące na ciemnej gałązce, na listeczku lub nikłej łodydze rośliny, maleńkie gniazdko, jest dla tej maleńkiej ptaszyny tem, czem dla nas obszerne pokoje. Widok tych przepięknych, pełnych gracji i barw stworzeń, wzbudza nawet w najsroższym naturaliście zachwyt i podziw. W porównaniu z żywemi, przepięknemi barwami tych ptaków, lśniące drogie kamienie, misternie przez zręcznego kunsztmistrza oszlifowane, tracą swój blask i urok. Chojna natura nie poskąpiła mu swych darów: piękna, gracji, żywości, lekkości i siły. Wielkość kolibra (Trochilidae) jest dość różna i gdy jedne dorównywują swemi rozmiarami naszej muchołówce — inne zaledwie do wielkości trzmiela dorastają. Forma tułowiu jest dość wydłużona, co jeszcze powiększa suty ogonek, ostry jak szydło dziób długi, małe, delikatne nóżki, mogące zaledwie utrzymać ptaka na gałązce, zawdzięczając to tylko ostrym pazurkom. W ustroju skrzydeł naturaliści chcą widzieć pewne podobieństwo do naszych strzyżyków. Opierzenie zwarte i mocno całe małe ciało oblegające. W ich ustroju wewnętrznym zasługuje na uwagę dziwny ich język, składający się z oddzielnych, zrośniętych z sobą przy osadzie części, komicznych rureczek, pustych w środku, wypełnionych powietrzem.

Kolibrów badacze natury podzielili na 70 oddzielnych rodzin i 400 odmian różnobarwnych, zamieszkujących wyłącznie całą Amerykę i będących jej wyłącznymi mieszkańcami wszędzie, tak pod zwrotnikiem, jak i w strefach chłodnych, aż do granic śnieżnych. Widzieć się dają w Andach, gdzie dolatują do śnieżnych szczytów wygasłych kraterów wulkanicznych, dokąd niewiele innych stworzeń zagląda. Każda część Ameryki posiada właściwe, a odmienne swemu klimatowi odmiany. Spotykamy te ptaszyny na Labradorze, w Brazylji, Meksyku, Florydzie, głównemi jednak okolicami ich rozprzestrzenienia jest centralna Ameryka, kraje podzwotnikowe, — przestrzenie nad Amazonką leżące. Meksyk jest ojczyzną jednej piątej części całej tej rodziny nam znanej. Tam swą nieustanną ruchliwością ożywiają one martwe pustynie i upiększają niezrównanemi swemi barwami opierzenia wypalone słońcem przestrzenie i dawno wygasłe kratery wulkanów. Brazylja jest niemi przepełniona, całe ich stada, jak roje much dużych, uwijają się nad brzegami rzek i jezior około drzew, soczystem kwieciem osypanych. Tam można je widzieć i obserwować między 4—6 godziną wieczorną, w całym ich blasku i ożywieniu. Polot kolibra niema nic wspólnego z lotem reszty ptaków. Jest tak bystry i dla oka nieuchwytny, iż zaledwie daje się złowić w migawkowem zatrzymaniu się jego u kwiatów, w które w przelocie wsuwa swój długi dzióbek, by spić z niego słodki nektar, lub pochwycić kryjącego się w kielichu robaczka. Trzepotanie skrzydełek w czasie spijania kwiatowych soków jest tak nieuchwytne dla oka, iż zaledwie dostrzec można mglisty krążek go otaczający i dopóki ptaszyna zawisa w powietrzu około kwiatu, skrzydełka jego nie wydają szumu, w bystrym polocie zaś dosłyszeć można pewien szum, przypominający szum lotu ćmy nocnej. Podobieństwo lotu tak dwóch odmiennych od siebie stworzeń, nieraz wprowadzała w błąd badacza i jak mówi nam Baets w swych wspomnieniach, nieraz przez pomyłkę zabijał kolibra zamiast ćmę „macroglossa litana“, tak są podobne do siebie w locie, bystrości, spijaniu rosy kwiatowej i szumie polotu. Nawet tuziemiec odróżnić ich od siebie nie potrafi, a w swej prostocie jest nawet przekonany o przemianie kolibra w ćmę lub jej w kolibra. Podobieństwo tych stworzeń rzuca się samo w oczy badacza: ten sam korpus wydłużony, pękiem włosistego ogona u ćmy jeszcze więcej uwydatniony, podobna głowa w długi ryjek uzbrojona i ta sama ócz oprawa, jedno upodobanie żywienia się sokami, ten sam lot szybki i zręczny w ruchach. Zresztą sposób życia kolibra więcej zbliżony jest do życia owadów, jak do ptasiego. Często małe samczyki wszczynają bój z sobą, a wtedy bijąc się, wzlatują wysoko, jak to czynią owady, bąki, czmiele i inne; walka trwa krótko, poczem rozlatują się w swe strony, powracają do przerwanych zajęć. Można je spotkać siedzące na listku i spijające soki kwiatowe, lecz dla niewprawnego oka nie jest łatwem dojrzeć tego karlika ptasiego. Trudniej jeszcze rozróżnić go w locie, wyjątek tu może stanowić uszaty „heliothrix auritus“ biały od spodu, a błyszczący zielonym wierzchem, lub nawet białoogonowy „Florisuza mellivora“. Podziwienia godną jest organizacja maleńkiego ciała tych ptaszyn, ta siła nadzwyczajna długiego trzymania się w powietrzu, tych ustawicznie drżących ruchów skrzydeł i wykonywanych niezmordowanych ewolucji. Mniemano długo, iż kolibry pozbawione są zupełnie głosu, czem jeszcze byłyby zbliżone więcej do owadów, bliższe jednak badania temu zaprzeczają. Wydają one niekiedy słabe dźwięki, do czyrykania naszych ptasząt podobne. Przekonanie pierwotnych badaczy życia kolibrów głosiło o pożywieniu kolibra wyłącznie kwiatowym sokiem, co w ostatnich czasach odrzucono. Słodycz roślinna jest najwięcej ulubionym jego smakołykiem, lecz nie gardzi zupełnie owadami i muszkami, kryjącemi się w kwiatowych kielichach, co potwierdza przebywanie tych ptasząt w Kolumbji w czasie, gdzie niema żadnych kwiatów. Czemże więc mogłyby one tam się karmić, jeżeli nie owadami lub muchami. Ta nieświadomość pierwotna o życiu i wyżywieniu kolibra w niewoli, była powodem niepowodzeń w ich przyswojeniu, karmione cukrem i miodem po krótkim czasie przenosiły się do wieczności.

Perjod parzenia się kolibrów określają na kwiecień, a Finley tak nam ich zalety opisuje: Nad siedzącą na listku, na odkrytem więcej miejscu, skromną samiczką, unosi się w powietrzu lśniący cudownemi barwami tęczy i złota, rozkochany amant. Coraz większe zatacza nad nią powietrzne kręgi, a doścignąwszy wyżyny, zaledwie dojrzany okiem, spada z niej jak kula ku ziemi, skąd znów za chwilę się wznosi i wykonuje te same karkołomne gimnastyczne popisy, olśniewając gracją ruchów i błyszczącemi pióry zaciekawioną samiczkę. Wreszcie po długich chwilach zręczności, siła i krasa jego jednają mu serce i przychylność samicy i piękna para po utuleniu pierwszych upragnień, wije sobie wspólnie gniazdko. On jej znosi delikatne niteczki roślin, miękkie listeczki i dziką watę, a ona wiąże misterną

osnowę, wyściela ją puchami i kładzie w gniazdku parkę biało-różowych, wielkości polnego grochu, jajeczek — i zasiada na nich. Odtąd młode małżeństwo, na podobiznę obecnych ludzkich, żyje w pełnej z sobą separacji. Ona zajęta domem i przyszłem potomstwem — spędza czas w gniazdku, on — w wesołej kompanji ubiega się za nowemi wrażeniami, przelatując z kwiatka na kwiatek, spija z nich słodycz, a gdy wreszcie zatęskni za domem, nieśmiało doń się zbliża; przeczucie go nie myli — małżonka gniewna odpędza go — nie dopuszczając do gniazda, wierna tradycjom rodowym, sama wychowując potomstwo i macierzyńską otacza je troskliwością. Ptaszęta po wyjściu z jajka są gołe i ślepe, po dniach kilku zyskują wzrok maleńkie ich ślepki, puszek rudawego odcienia pokrywa ich wątłe ciałko, a gdy piórka dostaną skrzydełka, ulecą z pod rodzinnej strzechy, by do niej nie wrócić więcej.

Notatki bibljograficzne.

Kalendarz myśliwski na rok 1928. Pod redakcją Juljana Ejsmonda. Druk.: Piotr Pyz i Ska, Warszawa 1928. Str. 144. Z ilustracjami. — Po długiej przerwie mamy więc znowu kalendarz dla myśliwych. Zaspakaja on istotną potrzebę. Z wydawanych w swoim czasie kalendarzy takich, w Małopolsce ostatnim był Kalendarz „Łowca“ myśliwski i rybacki na r. 1903. Dłużej utrzymały się kalendarze warszawskie. Ostatni z nich, wydany nakładem i pod redakcją „Łowca Polskiego“, wyszedł w r. 1914. Po wojnie mieliśmy kieszonkowy Ilustrowany Kalendarzyk myśliwski na r. 1925., z Bajkami J. Ejsmonda i ilustracjami W. Korsaka. Obecny kalendarz jest to poważne wydawnictwo, przedstawiające się okazale. Treść jego jest następująca: I. Jako wstęp „Pochwała puszczy“, wiersz Juljana Ejsmonda. II. Część kalendarzowa. Tu na każdy miesiąc podane są uwagi o życiu zwierzyny, o zwierzynie, na którą wolno polować, wreszcie o rodzaju łowów. Do każdego miesiaca zastosowana jest nadto odpowiednia Bajka J. Ejsmonda (jak w kalendarzyku z r. 1925.). III. Hodowla zwierzyny: 1. Porady hodowlane na rok myśliwski, przez F. Rożyńskiego. 2. Porady dla bażantarników, przez St. Kamockiego. IV. **Prawo łowieckie:** Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 3. grudnia 1927. w całości. V. Regulaminy i statuty: 1. Statut Centr. Związku Polskich Stow. Łowieckich. 2. Regulamin dla delegatów powiatowych C. Zw. P. St. Łow. 3. Wzorowy statut Kółek łowieckich. 4. Wzór regulaminu polowań dla Towarzystw łowieckich, przez W. W. G. 5. Regulamin strzelania do talerzyków, przez Czesława Lisowskiego. VI. O prowadzeniu większych polowań z naganką na drobną zwierzynę, przez inż. Szuberta (z tabelami). VII. Pierwsza pomoc w nieszczęśliwych wypadkach na polowaniu, przez dr. Feliksa Hłasko. VIII. Preparowanie ptaków, przez Jana Sztolcmana. IX. Pies myśliwski: 1. Opanowanie wyżła w polu, przez Walentego Włodzimierza Garczyńskiego. 2. Pielęgnowanie chorych psów, przez J. O. 3. Nosacizna u psa, przez J. O. X. Broń i strzelanie: 1. Wskazówki przy urządzaniu strzelnicy, przez Czesława Lisowskiego. 2. Sport małokalibrowy, przez Władysława Słończyńskiego. 3. Konserwacja broni, przez R. Torchalskiego. XI. Myśliwskie obuwie, przez Stanisława Hiszpańskiego. XII. Utwory J. Ejsmonda: 1. Z cyklu „Łowy królewskie“: Świt w puszczy, 2. Z cyklu „Opowiadania prawdziwe“: Jego pierwszy wilk. XIII. Dziennik myśliwski. XIV. Dział informacyjny. (Ogłoszenia). Oto spis treści, z którego wynika, że Kalendarz Ejsmonda jest poprostu bardzo praktycznym i pouczającym podręcznikiem, w który każdy myśliwy powinien się zaopatrzyć. Wśród licznych ilustracyj na pierwszem miejscu widzimy reprodukcję fotografji, predstawiającej Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego, na polowaniu w Komorze Cieszyńskiej, dalej szereg zdjęć, przedstawiających wybitniejsze trofea z zeszłorocznej Wystawy łowieckiej we Lwowie, zdjęcia z natury, winiety i t. p. Na ozdobnej okładce potężny łeb wilczy.

Konrad Machczyński. Mozaika wilcza. Wydanie drugie. Z przedmową Juljana Ejsmonda. Winieta okładkowa i 4 ilustracje wewnętrzne prof. Stan. Sawiczewskiego. Nakład księgarni Św. Wojciecha. Poznań. Bez daty. (1927.) in 8⁰, str. XV + 272. Ponowne wydanie „Mozaiki wilczej“ było myślą bardzo szczęśliwą i jest zasługą rodziny śp. Konrada Machczyńskiego, która od paru lat o tem myślała. Pierwsze wydanie z r. 1896. (Kraków, Zwoliński — Warszawa, Paprocki) było zupełnie wyczerpane i należało do rzadkości nawet w handlu antykwarskim. A dziełko to jest równie ciekawe, jak pouczające, zawiera n. p. doskonale zebrane wszystkie sposoby tępienia wilków, nawet szczegółowe, jak nigdzie, przepisy sporządzania t. zw. *witerunku, przynęty i obwłoki*, — przepisy, w głównych zarysach, zawsze aktualne, a podane w sposób nie nużący, bo wtrącone w właściwe autorowi, bezpretensjonalne i zajmujące opowiadanie, lub w dialog. Ponowne wydanie ma obecnie i dlatego niezaprzeczoną wartość, że po wojnie, jak to podkreśla w swej przedmowie Ejsmond, *„odrodziły się wilcze łowy w Polsce“*, i *„zmartwychwstało wilcze niebezpieczeństwo“*. Niema wszakże „Mozaika wilcza“ szczęścia do ilustratorów. Kto chce rysować zwierzęta, w tym wypadku konie i wilki, a niema ku temu wrodzonego talentu — wszak nie każdy urodził się Juljuszem Kossakiem albo Alfredem Kowalskim — niechby przynajmniej starał się naśladować gotowe wzory. Drobny szczegół: skośne oczy, niemówiąc o innych cechach, nadają wilkowi odrazu fizjognomję zupełnie od psiej odmienną. Ale o tem trzeba wiedzieć. Życząc „Mozaice wilczej“ jaknajrychlejszego trzeciego wydania, na co w zupełności zasługuje, życzymy jej zarazem, by to trzecie wydanie wyszło bez rycin.

W. Z.

* * *

W księgarni Zukerkandla w Złoczowie są do nabycia broszurki **„O prawie łowieckiem“** z 3. grudnia 1927, po cenie 1·20 zł za egzemplarz.

DWA LISTY.

Podajemy bez komentarzy dosłowną treść dwóch otrzymanych w październiku 1927 listów, wyjaśniając tylko, że pierwszy pochodzi od człowieka o akademickiem wykształceniu i jest odpowiedzią na urgens o wyrównanie zaległych wkładek, a zaś drugi jest serdeczną epistołą naszego wiernego członka, włościanina ze zachodniej Małopolski. Czytelnikom pozostawiamy ocenę, który z tych listów świadczy lepiej o zrozumieniu konieczności zrzeszenia się myśliwych i o lepszem zrozumieniu celów Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Do Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie.

W odpowiedzi do L. 1015/27 donoszę, że Panowie przysłali czek i każą sobie płacić aż 33 zł, odwołując się na statut. Mój statut: „płacić uczciwie temu, komu się należy“. Dlatego posłałem pieniądze przez p. Filipowicza za tych 2 czy 3 przysłanych gazet i prosi-

łem, aby mię wykreślić z Towarzystwa. Ponieważ przez kilka miesięcy nie dostawałem „Łowca“, byłem pewny, że tak się stało. Dopiero w tamtym tygodniu dostałem napomnienie, zatem numer „Łowca“, a dalej czek z wezwaniem płacenia 33 zł. Zaco, czemu, naco po kilku miesiącach „Łowca“ przysłano, który odesłałem, tak jak teraz odsyłam czek i oświadczam, że do Łowieckiego Towarzystwa się nie prosiłem, gazet nie dostawałem, — poświadczy poczta — i dla honoru 33 zł płacić nie myślę.

Z poważaniem.
Franciszek Bieniasz
w Świrzu.

* * *

Chicago Heights Illinois, dnia 22. października 1927

Do Redakcji i Administracji „Łowca“ we Lwowie.

Pobyt mój w Polsce, w miejscu rodzinnem trwał niespełna 9 miesięcy, bo nadzieje, które sobie snułem, że zostanę w Ojczyźnie i przyjmę gdzieś służbę leśnego, rozwiały się. Nie powinno przeto mi to być wzięte za złe, że ja znów powróciłem do Stanów Zjednoczonych. Lecz i teraz nie wracam tu na stałe. Zaoszczędziwszy znowu nieco grosza, powrócę do miłej, drogiej, chociaż ubogiej Matki Ojczyzny, bo tam się urodziłem, a chociaż ta nasza Ojczyzna niema takich olbrzymich bogactw, przepychów, miljonów i luksusów, to ma śliczną przyrodę! Tam w Polsce każdy strumyczek jakby rozmawiał z człowiekiem, tak tam jest błogo i miło; tam każdy krzaczek, trawka mówiły do mnie: Synu Polski! popatrz na nas — i my tu nie mamy rozkoszy, a jednak w obce światy nie uchodzimy, pozostań w swej Ojczyźnie i poznaj ją jeszcze lepiej. Tak więc doprawdy żal mi było Ojczyznę opuścić, że ze łzą na oku żegnałem te nasze śliczne górskie okolice! Aby więc zawsze mieć połączenie z Ojczyzną, i aby zawsze wiedzieć jak tam sprawy łowieckie stoją, to proszę Szanowną Redakcję o pamięć i o dalsze posyłanie mi „Łowca“. Gdyż pomimo, że jestem emigrantem, ze związku krajowych myśliwych wcale nie występuję, bo w nim widzę ratunek naszego myślistwa.

Jan Żmuda.

Korespondencje

Tarnopol, w grudniu 1927.

Dnia 31. października b. r. otworzyło Towarzystwo Łowieckie w Tarnopolu sezon polowaniem kniejowem w Czaharach białeckich i lesie kurnickim. Polowanie przygotowanem zostało na strzelb 14, jednak myśliwych jawiło się tylko 9-ciu. Nagonki 44 ludzi w tem 3 gajowych.

Wskutek nieobsadzenia 5-ciu stanowisk znalazło się na rozkładzie niestety tylko 14 zajęcy, 2 lisy (trzeci ciężko postrzelony przepadł) i rogacz myłkus z odbitym lewym tylnym badylem strzelony pełnym ładunkiem w sam przód od strony prawej, co zostało przez zebranych myśliwych po skończonym miocie stwierdzonem. — Tak parostki myłkusa jak i odbity lewy tylny badyl zostały zachowane jako dowód potrzebnego odstrzału tej sztuki.

Sarn widzianych było 3, lisów 5, słonki były widziane i strzelane. Wskutek zakazu polowania w pojedynkę i na zasiadce oraz sumiennego dozoru tego rewiru przez ustanowioną straż łowiecką, stan zwierzostanu jest lepszy aniżeli w zeszłym roku. — Umykających przez nieobsadzone stanowiska zajęcy widziano wiele.

Mimo skromnego rozkładu brać myśliwska wyniosła z dnia tegoż bardzo miłe wspomnienia, wskutek wzorowego porządku i energicznego prowadzenia polowania przez łowczego p. Jana Schmidta.

Po drugim miocie dokonał zdjęcia fotograficznego prof. Ostapiuk, zarazem król tego polowania, który miał na rozkładzie lisa i 3 zające.

Towarzystwo Łowieckie w Tarnopolu.

Skałat, w styczniu 1928.

Dnia 14. i 15. grudnia ub. r. odbyło się doroczne polowanie w rewirze Malinnik ziemi Skałackiej.

Zanim zdam o niem relację, muszę kilka słów charakterystyce tego rewiru i jego losom w roku ostatnim poświęcić — zasługuje bowiem na to ta perła Małopolskich rewirów.

Obejmując 1200 morgów lasu, tworzy Malinnik coś w rodzaju olbrzymiej remizy wśród morza pól położonej; mając także pod każdym innym względem wszelkie dane ku temu, obfitował on zawsze w niebywałą wprost ilość zajęcy i innej zwierzyny, szczególnie, że czuwał nad nim od długiego szeregu lat doborowy pod każdym względem i — jak na dzisiejsze stosunki — całkiem nieprawdopodobnie oddany mu personal z p. Vlkiem, nadleśniczym na czele

Nagle w lecie 1927 rozeszła się hiobowa wieść, że temu myśliwskiemu eldorado grozi zagłada! Rozpadł się bowiem nagle bez żadnego rzeczowego powodu klucz Skałacki, do którego Malinnik należał, całą ziemię a także i Malinnik sprzedał właściciel częściowo na parcelację, częściowo rozmaitym spekulantom, opuścił kresy i wyniósł się na zachód. Nie dziw tedy, że głęboki żal ogarnął tych wszystkich myśliwych, którzy znali tę śliczną knieję.

Na szczęście znalazł się obywatel-myśliwy p. Xawery Jaruzelski i jego przezacna małżonka, którzy z olbrzymiemi ofiarami zdołali wydrzeć z rąk żydowskich piękny Malinnik. Odetchnęli towarzysze z pod znaku św. Huberta — a dla Malinnika nastała jeszcze lepsza niż dotąd era.

Nowi właściciele nie szczędząc kosztów i trudu zdołali w ciągu kilku miesięcy jeszcze bardziej podnieść stan zwierzyny — nie dziw więc, że w dwudniowem polowaniu osiągnięto rekord Małopolski — a może nawet i na całą Polskę — jeśli mowa o l e ś n y c h polowaniach na zające.

W 20 strzelb ubito bowiem przy pojedynczej nagance, biorąc w tych 2 dniach tylko 17 miotów ($^2/_3$ całego rewiru) co następuje: 778 zajęcy, 7 bażantów, 1 lis, 12 skrzydlatych drapieżników. Rogaczy nb. nie strzelano zupełnie. Królem polowania był p. Erazm hr. Korytowski, mając na rozkładzie 84 zające.

W pierwszym dniu polowania stanowił miot 6-ty rekord, dając 91 zajęcy, 2 bażanty i lisa, zaś w drugim dniu miot ostatni, dając 159 zajęcy. Rezultaty istotnie niezwykłe!

Gościnne podwoje starego dworu w Kaczanówce przyjęły po polowaniu grono uczestników, którzy w serdecznych toastach na cześć nowych właścicieli Malinnika dali dowód swojej wdzięczności za ten prawdziwie obywatelski czyn uratowania go od zagłady.

Kierownictwo łowów spoczywało w doświadczonych rękach p. nadleśniczego Vlka, który prowadząc je zupełnie na modę zachodnio-europejską, wykazał, że nietylko jest zamiłowanym hodowcą i opiekunem zwierzyny — ale także również dobrym łowczym.

Walery M.

Chodorów w grudniu 1927.

Towarzystwo Łowieckie w Chodorowie urządziło na swojem terytorjum w gminie Czerniów dnia 7 listopada ub. r. gremjalne polowanie gdzie w 15 strzelb padło 37 zajęcy 10 słonek i 1 lis, zaś dnia 5. grudnia ub. r. w gminie Hrehorów gdzie w 16 strzelb padło 26 zajęcy. Zwierzostan w obu gminach bardzo dobry a przy dalszej racjonalnej gospodarce i opiece, znacznie się powiększy. Stosunkowo mała ilość zajęcy w rozkładzie w gminie Hrehorów spowodowana była tem, że wzięto zaledwie 5 miotów a mała ilość naganki spowodowała, że około 100 zajęcy i 3 lisy uszły niestrzelane.

Lesław Kaufer.

Jagielnica w grudniu 1927.

W Kluczu Jagielnica odbyło się dnia 10. grudnia polowanie leśne w rewirze Bielawina - Zwierzyniec. — Strzelb 14. Na rozkładzie 49 zajęcy.

E. Szafranek.

Rudnik nad Sanem, w grudniu 1927.

Od trzech lat w lasach, których całość stanowiła niegdyś dawną Puszczę Sandomierską pojawiły się wilki. Naprzód słychać było o jednym, potem o dwóch, znajdowało się rozdarte sarny, nawet warchlaki. W roku zeszłym w lasach dzikowskich otropiono jednego wilka i wzięto na niego miot — wilk jednak wyszedł flanką bardzo daleko od myśliwych i lekko zestrzelany przez Łowczego Pana Fiedlera, poszedł.

Wilki te zachodziły i do mnie, robiąc szkody w zwierzostanie zwłaszcza sarnim. Ciekawem jest, że rozdarty i zjedzony został pies włościański na łańcuchu przy zagrodzie, tego lata zaś spotkał wilka jeden z moich gości na podjeździe na rogacze, lecz nim zdążył strzelić, wilk schował się w gąszcz. Oczywiście leśniczowie i straż leśna mieli rozkaz strzelania do wilka przy spotkaniu.

W dniu 17-go ub. m., niestety podczas mojej niebytności w domu, leśny dał znać leśniczemu rewiru Rudnik, panu Mieczysławowi Korasiewiczowi, że widział właśnie wilka goniącego sarnę. Pan Korasiewicz wraz z dwoma synami pośpieszył we wskazanym kierunku, stając i stawiając synów na chybił trafił na przesmykach dziczych. Niezadługo wilk wyszedł na jednego z jego synów, który dwoma strzałami położył go trupem.

Wilk ten ważył 55 kg, długość od nozdrzy do nasady kity 1·37 m, kita obgryziona ma 30 cm długości, wysokość w łopatce 85 cm, szerokość łba między słuchami 22 cm.

Pierwszy to za mojej pamięci wypadek ubicia w danej Puszczy Sandomierskiej jednego z tak licznych ongiś jej mieszkańców.

W niedalekich od Rudnika lasach ks. Jerzego Lubomiskiego w Rozwadowie jest kilka wilków. Przed śniegiem wiedziano o nich stąd, że ks. Lubomirski ma chowaną wilczycę — i gdy ta wyła po nocy, z lasu odpowiadały jej żyjące na wolności krewniaki.

H. Tarnowski.

Solidarność u ptaków

Że wśród świata zwierzęcego oprócz walki na śmierć i życie podyktowanej najczęściej instynktem samozachowawczym, istnieje w przeciwieństwie również solidarność i pomoc w razie grożącego niebezpieczeństwa — Jest rzeczą powszechnie znaną. Ja zaś opowiem następujący epizod, którego byłem świadkiem przed wielu laty.

Jadąc z początkiem grudnia brzegiem Bugu niedaleko źródeł jego, ujrzałem porywające się stadko kuropatw, które przeleciawszy poza rzekę, zapadło pod gęsty, tarniowy krzak, stojący na szerokiej, zaśnieżonej miedzy. Tuż za stadkiem pędził jak strzała jastrząb-gołębiarz, a obaczywszy, że ptaki skryły się w krzaku, spuścił się na ziemię i rozpoczął dalsze łowy na piechotę. Obchodził on krzak wokoło i przepędzał przestraszone ptaki z jednej strony na drugą, chcąc je zmusić do opuszczenia bezpiecznej kryjówki i wzniesienia się znowu w powietrze, gdzie stałyby się dla niego łatwym już łupem. Nie udał mu się jednek ten fortel. Po niedługim czasie przyszły bowiem kuropatwom w sukces wrony. Te widząc z daleka, w jakiej opresji one się znajdują, poczęły głośno krakać na alarm, a gdy ich nadleciało kilka, tak długo atakowały ze wszystkich stron jastrzębia, że ten, dając za wygranę, jak niepyszny opuścił pole walki i wyrzekłszy się zdobyczy odleciał w stronę pobliskich lasów.

Wrony więc, uważane i tępione jako szkodniki, odgrywają przecież w łowiectwie (atakowaniem drapieżników, jakiemi są jastrzębie, krogulce, puchacze i t. d.), pewną i pożyteczną rolę, a mianowicie policji p. (czytaj nie „państwowej“ lecz „powietrznej“), co im przecież za zasługę poczytać należy. *Dr. H. M.*

* * *

Bajka smutna lecz prawdziwa.

Jest „sobie“ niedaleko Lwowa las, taki niewielki, bo około 200 morgów starodrzewu liczący, a więc z tych kilku miotów niewielka dla myśliwych pociecha. Kilka, a w najlepszym razie kilkanaście szaraków, a czasem jeden koziołek do tego — stanowią przeciętny rozkład trzygodzinnego polowania.

Ale za to na samym skraju tego lasu odgraniczona drogą gminną i otoczona z przeciwnej strony błotami i potokiem, znajduje się kilkumorgowa kultura świerkowa, przecięta na dwie połowy wąską linijką.

Ta kultura tworząca nieprzejrzaną i nieprzebytą gąszcz sięgających do ziemi gałęzi świerkowych, tworzących ciemne, mroczne labirynty, przez które ledwo nagonka przedrzeć się z trudem zdołała — wynagradzała myśliwych, utrzymując ich w ciągłej emocji i natężeniu zmysłów słuchu i wzroku, jakoteż nerwów.

Tajemnicze gąszcze te były bowiem kryjówką dzików i lisów, które niechętnie opuszczały bezpieczne swe schronienie, wiedząc, że na drodze rozstawieni myśliwi przywitają ich salwą strzałów. Dlatego też bawiły się w gąszczach z nagonką w formalną ciociu-babkę, lub tańczyły kadryla, nie dając się wyprzeć na linję myśliwych. Jedynie na wąskiej linijce widzieć można było przez setną część sekundy ledwo to sylwetkę przeskakującego dzika to lisa, lecz o strzale trafnym mowy być nie mogło. Pierwszy gon brało się od strony prawej— a gdy dziki nie wyszły na linję myśliwych, brało się go powtórnie, ale od strony lewej, a gdy i teraz zostały w gąszczu, — brało się z trzeciej strony i tak ciągle, aż do skutku tj. dopóki przecież zrozpaczone i zniecierpliwione dziki nie szukały ratunku w przebiciu się przez linję myśliwych lub przez jakąś słabiej obsadzoną flankę.

Tak było przez lat kilkanaście. A dziś? Cóż jest dziś? zapytacie — czy niema już tej kultury?

Ależ owszem, jest — i to jeszcze jaka! Niema w niej ani gąszczu, ani cienia, ani splątanych gałęzi

i t. p. — ale świerki są dokładnie na dwa metry od ziemy pedantycznie z gałęzi oczyszczone, dołem na ziemi nie ujrzysz ani krzaczka, ani trawki, czysto tam i gładko prawie jak w salonie, tak, że nawet mysz nie miałaby się gdzie ukryć, nie dopiero zając lub lisiura. Ale za to przez cały ten „były“ zagajnik widzać przejrzyście na przestrzał w każdą stronę — aż miło!

. . . .

Co spowodowało sędziwego zarządcę tego rewiru należącego do wielkiego dominium tzw. „martwej ręki“, do tego barbarzyńskiego, z myśliwskiego punktu widzenia, dzieła niszczycielskiego, niewiadomo.

Ewentualne szkody, wyrządzane przez dziki, nie wynagradzał Zarząd lecz dzierżawiące ten rewir Towarzystwo myśliwskie. Czy może dziwny sposób poprawienia natury i pomaganie jej we wzroście, jak w jakimś pomologicznym ogrodzie?

Oprócz bajki prawdziwej a smutnej, która raczej snem przykrym być powinna, a nie jawą i laktem — dałem do rozwiązania i zagadkę — jaki był cel tej dewastji lasu i ostoi zwierzyny, tak wysokiej dla myśliwego ceny?

Być może, że ktoś są trafnie rozwiąże i wielu przekona, dla mnie jednak, jako dla myśliwego, zawsze ona nierozwiązaną zostanie. *H. Malsburg.*

OBWIESZCZENIE LICYTACJI

L. 1303. *Nadleśnictwo w Nahujowicach*

W celu oddania prawa polowania w lasach Państwowych na wszelką zwierzynę w Nadleśnictwie Drohobycz i Nahujowice w rewirze łowieckim Drohobycz oddziały las. 1—15 i Nahujowice oddziały las. 1—22, 23—33, 47—57 o powierzchni około 2974 ha, odbędzie się dnia **30. stycznia 1928 w kancelarji Nadleśnictwa Nahujowice o godz. 10-tej rano licytacja zapomocą ofert pisemnych.**

Czas trwania dzierżawy, obejmuje okres sześciu lat myśliwskich od 1. marca 1928 do końca lutego 1934.

Oferty w formie prawnej wystosowane, własnoręcznie podpisane, ostemplowane i zaopatrzone w przepisowe poręczne w wysokości połowy ofiarowanego czynszu za teren dzierżawny **wnosić należy do Nadleśnictwa Nahujowice p. Drohobycz do dnia 28. stycznia 1928 do godziny 18-tej.**

Warunki licytacyjne przejrzeć można w Nadleśnictwie Nahujowice.

Nadesłane

PROTOKÓŁ

z posiedzenia Komisji Likwidacyjnej Myśliwskiej Spółki Wydawniczej.

Koło Miłośników Łowiectwa przesyła do umieszczenia w „Łowcu“ następującego Protokołu z posiedzenia Komisji Likwidacyjnej Myśliwskiej Sp. Wydawniczej.

Po odbytych ośmiu posiedzeniach likwidacyjnych, na ostatniem posiedzeniu Komisji w dniu 5. grudnia 1927 r., ustalono:

1. Wszystkie wierzytelności Myśl. Spółki Wydawn. stosownie do zestawienia i odpowiednich dowodów-pokwitowań znajdujących się u pana Rudaka — zostały ostatecznie uregulowane.

2. Wobec tego, że po uregulowaniu wierzytelności nie pozostało żadnego salda gotówkowego, — postanowiono jako drobną rekompensatę za udziały byłych udziałowców Myśl. Spółki Wydawn. — rozdzielić pomiędzy nimi pozostały, nierozsprzedany remanent broszur (monografij) wydawanych przez Myśliwską Spółkę Wydawn. w stosunku 10 egzempl. na 1. udział. Ponadto uchwalono: ofiarować bezpłatnie na cele propagandy literatury łowieckiej 400 egzemplarzy broszur, a mianowicie: 200 egzemplarzy „Łowcowi Polskiemu“ w Warszawie, 200 egzemplarzy Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu we Lwowie. Książki te zainteresowani mogą otrzymać bezpłatnie u p. Józefa Skrzypka, Miedziana Nr. 4 a, w godzinach 9—3-ciej telefon 130—76. Książki nieodebrane do dnia 1. lipca 1928 będą przekazane bezpłatnie Tow. Myśliwskim p/g. uznania prezesa Koła Miłośników Łowiectwa.

Na tem Protokół zakończono i Komisja uważa likwidację za ostatecznie ukończoną, a tem samem mandaty Komisji za wygasłe.

Warszawa, dnia 5. grudnia 1927.

J. Skrzypek *M. Czerwiński* *A. Rudak*

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.



Z „Drukarni Narodowej", Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.